

W ZADYMKĘ

To były złote lata w historii rodziny...

Lecz ta wyspa nie była oazą szczęśliwości, bo szczęście mieszkało w innej części świata, po zachodniej stronie wielkiego oceanu, który najczęściej pozostawał zimny, złowrogi i wzburzony, a jego wody z łoskotem rozbijały się o brzegi, tak iż w głębi wyspy, przyłożony ucho do ziemi, nie widząc zwałów wody, można było usłyszeć ryk fal.

Jednakże rodzina wróżki ze Starego Domu miała swój udział w szczęściu, a to dlatego, że córka wróżki, Gogo, będąca mamą bądź babcią pozostałych mieszkańców domu, wyrosła na gospodynię, panią na włościach na zachodniej półkuli i wszystko, co od niej pochodziło, niosło z sobą blask owego słońca rozświetlającego jej życie. Na przykład bracia, oni także wyjeżdżali na zachód, a starszy z nich, Baddi, wrócił tak odmieniony, wspaniały i piękny, że nikt by się nie zdziwił nawet gdyby wyrosły mu skrzydła z ramion. Tamten brat także wyjechał na zachód, milczący i obojętny. Wrócił jeszcze bardziej obojętny, za to tak wyrośnięty, że przypominał dzieciom dobre trolle z baśni; cicho i smętnie poruszał się po domu, pomimo całego postępu w Ameryce, a lu-

dzie dopiero później mieli zrozumieć, że wszystko to, co leżało na ziemi, było mu tak obce i odległe...

Jeśli świeciło słońce, mieszkańcy domu czasem wynosili taborety przed drzwi wejściowe, lecz w tym kraju trzeba było również przeżyć długie, czarne dni zimowe. Najmłodsze dzieci, dzieci Dolli, zawsze znajdowały sobie jakieś zajęcie. Siedziały całymi popołudniami i grały w oczko na drobniaki, którymi brat mamy, Baddi, zawsze chętnie je obdarowywał; czasem wieczorami potajemnie wywoływały duchy, bacząc jednak, by babcia nie zauważyła, bo wróżka nie lubiła, kiedy błogosławione niewiniątka zajmowały się nieczystymi sprawkami.

– Z tego to ino się bierze przeklęstwo i tułaczka! – powiadała, ona, która tak była zdolna i uparta, że mogła używać słów, jak tylko jej jednej się widziało. Wieczorami dzieci Dolli lubiły zakraść się do szafy milczącego wujka. I jeśli Daniel był w nastroju, snuł opowieści o dzieciach, które przeżywały niezliczone przygody, a które takie same miały imiona jak te, co siedziały na podłodze i słuchały z rozdziawionymi ustami; w opowieściach tych Gislina i Asmundur biegali szybciej niż inne dzieci na świecie. Ich mały braciszek Bobo był kulawy i miał drewnianą nogę, więc nigdy nie wspominało się o tym, że biega; zresztą nie było takiej potrzeby, Bobo umiał latać, gdy tylko zaistniała taka potrzeba. Dzieci z tych opowieści Daniela przeżywały niebezpieczne przygody; raz wpadły do swojej małej chatki w lesie i zatrzasnęły wszystkie drzwi i okna, bo gonił ich wielki, zły wilk. Lecz zatrzaśnięte drzwi nie stanowiły dla wilka żadnej przeszkody. Nabrał powietrza w płuca i dmuchnął na chatkę z taką siłą, że się rozpadła, obnażając przerażoną dzieciarnię. Niewiele

brakowało, a historia skończyłaby się tragicznie. Po wysłuchaniu takich to opowieści dzieci kładły się do snu z gęsią skórką wywołaną podnieceniem, z głowami pełnymi dmuchających wilków i rozpadających się chatek. Ale tu, w Starym Domu, nie miały się czego bać i słodko zasypiały; tego dużego solidnego domu żaden podmuch by nie wyrzucił, mimo iż okoliczne baraki często sypały się podczas wichury. Stary Dom był niezwykłą twierdzą w samym centrum dzielnicy. Górował nad barakami niczym stwórca, tchnący życie w muchy domowe, krótkotrwałe i błahe. Zupełnie jakby wieczność porównać z chwilką. Nigdy nie pomalowano tynku na zewnętrznej ścianie. Szary był po prostu, szary jak pogoda i jak ten kraj, jak skały pustkowia. I właśnie w niewzruszonym zaciszu tego domu dzieci mogły spokojnie spać, mimo wieczornych opowieści wujka w szafie; opowieści, które o wiele większe wrażenie wywierały na nich niż przygodowe książki dla dzieci, w tym domu równie rzadko spotykane jak inne książki.

Ale przecież w domu były książki, zawsze jakieś tam trafiały, choć później nie rzucały się w oczy. Może nie wypadało ich zauważać? Jeśli chodzi o lektury, należało zachować ostrożność; być może przy otwartej kurtynie, w dziennym świetle, traciły swą naturę i moc. Psalmi wielkiego poety leżały zagrzebane pod poduszką wróżki, pisma trolla na temat lotnictwa i wiedzy tajemnej ukryte były w ciemnych zakamarkach szafy. A była jeszcze Dollie; kiedy jej dzieci wywoływały duchy lub słuchały opowieści wujka, ulegała czasem potrzebie czytania, zaniedbując się przez to; w tamtym tygodniu była może podniecona, ukryta w skorupie rozsądku wiedziała, że najważniejsze to wyznaczyć sobie te kilka rzeczy, które

na tym świecie coś ważą, a potem tylko walczyć o nie zębami jak jej babcia wróżka. Wtedy była Dolli chłodna i zdecydowana, mówiła z przekonaniem, ochoczo i na wyprzódki nożem stołowym czyściła szpary między deskami podłogowymi. W końcu jednak przychodziło natchnienie i sączyło jej w uszko słodko-bolesną tęsknotę za niczym; może jedynie za życiem, jakie wiodła jej mama Gogo. Wtedy Dolli wyobrażała sobie, że za kilka lat stanie z miotłą w ręku, w chustce na głowie, z żyłakami na nogach, widziała się jako starą, zniszczoną kobietę, którą czeka tylko jedna rzecz w życiu, śmierć mianowicie. I nie będzie jej dane zaznać tego piękna, jakie króluje w umajonym liśćmi pałacowym ogrodzie przy lampce złocistego wina, nie zatańczy z objęć w objęcia, nie będzie kochana i podziwiana; wtedy właśnie wpadała w depresję, którą Lina nazywała mizerią, a tę depresję jedynie książki mogły uczynić znośną: opowieści o najpiękniejszych kwiatach, które obumierają w cieniu, o skazanych na taki los nasionach... Książki, które nigdy nie rzucały się w oczy, poza tymi właśnie chwilami, kiedy to wyrastały nagle z szaf i szuflad stolików nocnych i odkładały się na stosach i kupach; wielkie i małe, o smutkach i tęsknotach unoszących się nad oceanami, nie mając szacunku dla granic ni klas, a niektóre z nich tak gorzkie, że kilka zaledwie linijek powalało człowieka niczym elektrowstrząsy; pięć linijek i oczy przestawały widzieć cokolwiek poza kolorową tęczę i to bez względu na to, że czyta się te linijki po raz setny, jak na przykład w książce o Victorii i synu młynarza, i miłości, *która jest jak goryczka, zamyka się, gdy się na nią oddycha, a umiera, gdy się jej dotknie... I miłość*

dała początek świata, i jest świata panią; lecz wszystkie jej drogi pełne są kwiatów i krwi...

Jeśli życie jest cierpieniem, to na tej wyspie jest życie...

Przyjedź do stolicy i pocuj, że nawet pustka może być zawieszista i dusząca, spójrz na twarze ludzi w nabiawowym; nachalny zapach wełny, gdy deszcz paruje z ciuchów, podejrzliwość, ale na dnie rozbieganych oczu czai się prawość. Choćbym miał wszystkie sklepy z torbami świata, tej siatki nikomu nie wolno dotykać. Ściany płaczą. Ptaki wędrowne wzdychają w zdradzieckim zaciszu przy sęku pod okapem albo krzyczą wściekle, że się w tym miejscu znalazły. Lecz szare kompleksy, które drążą dusze, nie żerują na wietrze; za to żeruje na nim nadzieja na jasne dni, które nadejdą wraz ze słońcem, niczym światło w jaskini. Mieszkańcy jaskini ślepną i wpadają w szał. Jasne dni nastają niczym do- roczny bal w firmie, w której cicha zawziętość i rygor pączkują w dni powszednie: w końcu jednak zaczynają się tańce, wesołość zbyt szalona, by była prawdziwa; na każdym promyku wisi kac z popękkanymi żyłkami; samobójstwo, bójki, rozwody, rozstania przyjaciół i nawet oddziały dziecięce w psychiatryku się przepełniają. Bo może to miasto przypomina gabinet strachu w Tivoli, który gdy zjawia się zmęczona doświadczeniem sprzątaczką i zapala światła, jawi się bardzo prostym i prymitywnym... Tu jest wszystko, co mam do zaofe- rowania, powiada miasto niczym handlarz rozkładający swoje szklane paciorki na zniszczonym kocu pod ścianą domu. Tu mienią się w słońcu wszystkie wspaniałości,

które według was kryje mgła. A może po prostu to dobrze, że znów gromadzą się chmury wzdęte szarością i kładą się cieniem na dachach, czasem tak nisko, że wciskają się między domy i wszystko jest mokre, wilgotne od rosy, która karmi sen o jasnych, kwiecistych dniach, rozbrzmiewających ptasim śpiewem; ożywia te nadzieje, które ogłuszył ostatni bal słońca.

Jeśli chcesz poznać mrok, przyjedź na tę wyspę, gdy zapadnie szara jak piekło zima biegunowa i zamrozi to, co jeszcze nie zwiędło podczas jesiennych przymrozków. Poznasz mrok tak gęsty, że sprawia wrażenie zatrutego, a przynajmniej duszącego. Tak ciemny, że nie widzisz swych dłoni, ale wiesz, ból świadczy o tym, że ręce stają się szare i umierają; może cały stajesz się szary i umierasz, miesiąc po miesiącu i po miesiącu. Przecież mrok zawsze może być jeszcze czarniejszy, coraz gęstszy jawi się po każdej mdławej jasności, która z westchnieniem podnosi głowę koło południa każdego dnia, biała jak prześcieradło przeciera szklane oczy, lecz więdnie i odlatuje chwilę później. Jakby po to, by wydusić z siebie ostrzeżenie na łożu śmierci. Jeśli kochasz życie, nie ryzykuj wyjścia na arktyczny wiatr, który triumfalnie chłoszcze domy po twarzach i łaje ogrodzenia. Zapuść się do Thulecampu, do zgarbionej dzielnicy koszarów, którą mieszkańcy Starego Domu uważają za stolicę Reykjavíku; nawet tam możesz zablądzić w wąskich zaułkach między barakami, kiedy zadymka jest najgęstsza i nigdzie nie widać oznak życia. Może leży ono uśpio-
ne pod pierzyną śniegu. A może nie. Na całe szczęście odgłosy nie są ludzkie. Włócząc się, tracisz orientację, może i przestajesz rozróżniać kolory. Mógłbyś wyobrazić sobie, że zblądziłeś w niekończącej się epoce lodow-

cowej, gdzie wszystko to odcienie szarości, czerni i bieli, szarości, czerni i bieli... Tylko światła, czerwone światła przebijają się przez czerni. Tam, poprzez wściekły taniec płatków śniegu, majaczy barak Hlynura. I to jest życie, które widzisz, oznaki życia przy karetce, do której wkładają samego Hlynura mechanika samochodowego, o którym to powiada głos wiatru, że chciał odkopać śnieg, by wyjść na dwór, lecz uderzył się łopata. Oto oznaka życia; widzisz szarą twarz starca, ty ostatni spośród mieszkańców dzielnicy widzisz tę twarz, nie licząc oczywiście jego żony Krzywej Laugi, która z trudem odprowadza męża przecierając oko rogiem fartucha. Te niesłychane dźwięki, które słyszysz poprzez świst wiatru, to może jej jęki na chwilę przed tym, jak przemarznięci sanitariusze zatrzasną drzwi i karetka ruszy z warkotem przez mrok i zasy py zabierając mechanika samochodowego w tę piekielną wędrówkę, mechanika, który tak naprawdę nie był mechanikiem samochodowym, lecz złоторękim pracusiem, któremu pozwolono korzystać z tego garażu, gdy udostępniono kamp lokalnej hołocie pod koniec wojny...

Zdradliwa jasność południa zdaje się także chorować na serce i dlatego najprzytulniej będzie schronić się w Starym Domu, który nad wszystkim roztoczy opiekę, nim na dzielnicę znowu rozleje się atrament mroku. Oto wznosi się kamiennoszary dom w migotającym świetle zmierzchu. Uważaj jednak na drzwi wejściowe. Mogą zniknąć w próżni, jeśli podmuch wiatru je chwyci. Wtedy północne wietrzysko bez przeszkód dmuchnie zaspą do przedpokoju. Tego dnia właśnie mrok pokazał całą swą potęgę, gasząc światło w domach, kontakty reagowały jedynie głośnym pstryknięciem. Może to któ-

rys ze stalowych słupów przenoszących elektryczność z jezior poprzez pustkowie wziął przykład z licznych mieszkańców dzielnicy i położył się na wznak, uginając pod ciężarem zimy. Lecz troskliwy Tommi zadbał, by w takich wypadkach w domu znajdowały się zawsze sprawne latarki; świec używać nie wolno, bo wróżka Karolina przekłęta i wyklęta z domu wszelkiego rodzaju żywe oświetlenie.

Ludzie jak muchy zbierają się przy smugach światła przecinających mrok. Spokojni panowie Tommi i Daniel siedzą w malutkim kręgu jasności w najodleglejszym kącie bawialni i dyskutują o czasach, które zaznały się głównie tym, że już minęły. Młody człowiek słucha. Stary Tommi przemawia. Wróżka powiada, że Tommi umie tylko mówić o swoim życiu w tych zaprzeczonych czasach, kiedy to był zapijaczonym kawalerem i lekkoduchem bujającym po falach oceanów. Tym razem to się jednak nie zgadza, bo wódczane przekleństwo zaprzęta mu umysł; wszyscy przyjaciele i krewni, którzy zatarali się w alkoholowym piekle.

– Jak świętej pamięci brat Masi. Od czasu, jakżeśmy się urodzili, a było pół godziny między nami, nie mogliśmy bez siebie żyć. Nie było lepszego człowieka, bo gdzie się nie ruszył, był lubiany za miłość i uczynność. Do każdej pracy chętny niezwykle. No i co? Miał koło dwudziestki, w twoim wieku był, kiedy zaczął pociągać. Wszystko przepił. I nie mogłem po prostu nic dla niego zrobić.

– I co? – zapytał młody człowiek, choć minę miał taką, jakby słyszał tę opowieść po raz dwudziesty.

– No tak, zawsze był pijany, nie raz była mowa o tym jak skończył, nawet taka jest wersja, że umarł po drodze

do wychodka. To wtedy ja już dawno nie piłem z nim, chociaż nadal lubiałem się napić. Za długo.

– Tak.

– A potem miałem taki ciekawy sen. Brat Masi przychodzi do mnie, blady jak prześcieradło, ze śniegiem i soplami w brodzie i mówi: „Bracie Tommi. Zakorkuj flaszkę.” Wtedy miałem, u-u-u, to było dużo po tym, jak sprowadziłem się do miasta i żeśmy się poznali, ja z twoją babcią, miałem wtedy pół flaszki i całe życie od tego czasu ją miałem nietkniętą.

– Aż do niedawna – dodał Tommi po krótkim milczeniu i przeniósł wzrok na Baddiego.

Baddi pojawił się w świetłach rampy. Stał w drzwiach bawialni w blasku latarki i próbował rozciągnąć ekspander Danniego. Twardziel usiłował rozłożyć ramiona i rozciągnąć sprężyny, lecz nie stało mu siły albo cierpliwości. Dlatego jeden uchwyt zaczepił o kłamkę, naciągnął sprężyny i udawał, że gra na gitarze. Był sam na sam ze swymi myślami. Nucił pod nosem: *Gonna git some... real true, down to earth, go gettin', rock'n'roll beat into this one now.* Lekko poruszał głową, tak że ciemne, wypomadowane włosy opadły mu na czoło. Gardłowym głosem rzucał frazy Elvisa do lampy stojącej.

W kuchni także świeciła latarka. Własność Grettira. Miała tak zużyte baterie, że z każdą sekundą widać było jak światło blednie. W snopie światła siedzieli Dolli i Grettir i po raz dziewięćtyśięczny omawiali przygotowania do ślubu, który po długich latach narzeczeństwa miał się w końcu odbyć. Dolli chciała to przyspieszyć, mieć to już z głowy, a Grettir nie chciał jej drażnić, toteż wszystko, co mówiła, płynęło jakby z jego serca, tak-tak kochanie, jak sobie życzysz, ale to nic nie dało,

bo wnet Dolli zrobiła się nerwowa i zaczęła klócić się z kandydatem na męża. Albo na mężczyźnę; Grettir był już po czterdziestce, a wróżka Lina nie mogła się naziwić, że taki kurdupel dożywa tak poważnego wieku.

Potem światło zgasło, a Dolli przestała się klócić z Grettirem, który z ulgą ukrył się w mroku. Za chwilę zaczęła po omacku krążyć po domu i z bawialni dobiegł jej głos:

– No a nie powinno być dwóch?!

Nadała głosowi siłę bluesa; cóż to za cholerna bezczelność, w końcu nie mieszka tutaj sam; Tommi nie zaczął jeszcze tłumaczyć, że pozwolił chłopcu zabrać latarkę z sobą na górę, a już Lina roztrajkotała się na temat jakiejś miarki, która się przebrała.

Obie kobiety wbiegły schodami na górę i otworzyły zamasyście szafę Danniego; człowiek leżący w szafie skulił się nad zeszytem, który usiłował ukryć, gdy tylko wtargnął ten oddział szturmowy. On ciągle coś knuje. A to nie wróży niczego dobrego, zresztą usłyszał kilka słów, gdy porwały latarkę, umocowaną z pomocą jakiegoś wynalazku do zdjęcia w ramce, które notabene spadło ze ściany i roztrzaskało się w drobny mak o podłogę. Biedne kobiety aż się zlekły. Zniknęły, wzywając imię Jezusa nadaremno, czyniąc znak krzyża, a chłopak został sam i usiłując sprzątnąć odłamki szkła przy blasku zapalanej zapalniczki, skaleczył się w palec. Miał łzy w oczach i kto wie, czy te bary olbrzyma nie zatrzęsły się od płaczu. Pomyśleć tylko! Dwudziestolatek rozczulający się nad swoim starym zdjęciem w stroju piłkarskim...

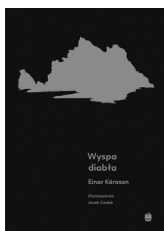
Einar Kárason

trylogia *Wyspa diabła*

tłumaczenie: Jacek Godek

tom I
Wyspa diabła

premiera:
październik 2019



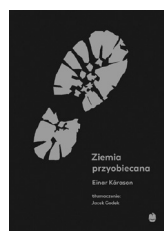
tom II
Złota wyspa

premiera:
marzec 2020



tom III
Ziemia przyobiecana

premiera:
październik 2020



Zanim Islandię odkryją zafascynowani nią turyści, miłośnicy niezwykłych krajobrazów, backpackerzy żądni wrażeń, czytelnicy sag i podejrzani marzyciele, tysiące przybywających do Reykjaviku zamieszka w dzielnicach pomilitarnych baraków, a dzieciaki z Thulecampu będą surfować po kałużach w pustych beczkach po ropie.

Wyspa diabła jest opowieścią o jedności i solidarności w kraju indywidualistów. Pozornie niezdolni do zgody mieszkańcy biednej dzielnicy odkrywają, że we wspólnocie łatwiej przetrwać trudne czasy. Trochę saga, trochę powieść ze społecznym przesłaniem, uzyskująca niezwykłą lekkość dzięki ironii i inteligentnemu humorowi. Einar Kárason jest pisarzem uważnym, czułym, brutalnym, gdy trzeba, ale przede wszystkim jest niezwykłym kronikarzem czasów, o których dzisiaj nie przeczytamy w popularnych przewodnikach. Lektura obowiązkowa nie tylko dla zakochanych w Islandii.

Wojtek Szot, zdaniemszota.pl